

1.3 Przedmowa autora



„Amerykański mnich” to pseudonim nadany mi jeszcze w latach 80-tych XX wieku przez mojego najukochańszego brata w Dharmie, Czcigodnego Jongwon. W 1979 roku z powodów politycznych musiałem wyemigrować do Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej. Do jesieni 1987 roku nie miałem możliwości wyjazdu do mojej ojczyzny. Dlatego też, odkąd zmieniły się polityczne uwarunkowania, to podróżuję tam przynajmniej raz do roku, czasem nawet i dwa razy. Większość czasu spędzam wówczas w mojej rodzinnej świątyni Hwaelemsah w prowincji Jeolla-Namdo.

Szczerze mówiąc, nigdy nie planowałem, ani też nie miałem zamiaru wyjeżdżać do USA... Uczyniłem to tylko i wyłącznie z powodów politycznych. To właśnie one spowodowały, że przybyłem do tego jednego z największych na świecie państw, jak również popychają mnie przez ostatnie 37 lat do wędrówek po świecie, w trakcie których odwiedziłem już ponad 50 krajów pracując na rzecz buddyzmu, innymi słowy propagując Dhammę.

Zdaję sobie sprawę, że szerząc Dhamę przez wszystkie te lata zdarzyło mi się popełnić wiele błędów, z powodu których czuję w sobie żal tak duży, że nieraz jest mi aż wstyd o tym mówić...

W 1979 roku, w pierwszym roku pobytu w USA, byłem jeszcze pełen obaw i odczuwałem ogromną niepewność, gdyż wszystko, co mnie otaczało, a zwłaszcza język i kultura, było zupełnie inne niż to, co do tej pory znałem. Niemniej jednak, dzięki wielu błogosławieństwom ze strony Buddy i Bodhisattwów, poczyniłem pierwsze kroki i powołałem do istnienia małą grupę misjonarzy buddyjskich.

Spotkanie w USA Mistrzów, takich jak Czig. Seung Sahn czy Czig. Do Ahn w USA okazało się mnie największym szczęściem i błogosławieństwem. Ci dwaj wielcy Mistrzowie mocno wsparli mnie swoimi dobrymi radami. Za każdy razem, gdy miałem okazję słuchać ich mów Dhamy, bądź być świadkiem, gdy dzielili się z innymi swoją wiedzą, pilnie chłonałem każde ich słowo; gdyż sam nie miałem jeszcze doświadczenia w życiu Sanghi ani głębokiej wiedzy o Dhamie Buddy. Na początku lat 80-tych XX wieku spotkałem wielkiego uczonego, reprezentującego tradycję therawady, Czcigodnego dr Havanpola Ratanasara. Była to najszcześniejsza chwila w moim życiu, gdyż nauczał mnie on całej Nikayasutty¹, a później, dzięki jego pomocy i pod jego kierunkiem udało mi się uzyskać tytuł doktora.

Jestem naprawdę szczęśliwym mnichem zen, który miał okazję studiować, by zdobyć wyższe wykształcenie i samemu nauczać na wielu uniwersytetach, jak również podróżować po całym świecie w celu buddyjskiej misyjnej działalności. Jednakże, należy pamiętać, że to nie była gra solo... w rzeczywistości to wspólna praca wielu członków Sanghi, braci w Dhamie, zgromadzeń w USA i Europie, a co najważniejsze mojej rodziny, która udzieliła mi nieograniczonego wręcz wsparcia.

¹Wczesny kanon buddyjski.

Byłem pierwszym buddyjskim kapelanem i wykładowcą na Uniwersytecie Południowej Kalifornii oraz adiunktem na Uniwersytecie Loyola Marymount. Potem zostałem dziekanem Instytutu Studiów Buddyjskich w USA - wszystko to było możliwe dzięki łańcuchowi Pratiya-Samutpada², powinowactwa karmicznego!

Teraz, jako emerytowany profesor oraz starszy główny opat w Północnoamerykańsko-Europejskiej Szkole Koreańskiego Budyzmu Zen - Taego, dedykuję „Wędrownego Amerykańskiego Mnicha” mojemu umiłowanemu nauczycielowi Dharmy, mistrzowi zen Do Kwang’owi, braciom w Dharmie: Czcig. Jongwon’owi i Czcig. Jonggeol’owi, mojej pięknej małżonce Young Park, moim dzieciom Kapitanowi Albertowi Parkowi, Mayi Heddon i Johnowi Heddon. Chciałbym złożyć także specjalne podziękowania mojemu redaktorowi, który przysłużył się wieloletnią pracą, Wielebnemu Johnowi Maxwell’owi oraz moim uczniom Karinie Sima, Haraldowi Skrabal, Theodorowi Strohal.

Na koniec składam trzy pełne pokłony Czcigodnemu Hae Cho, Najwyższemu Patriarsze Zakonu Taego.

Listopad 2015

Jongmae Kenneth Park

Anaheim Hills, Kalifornia

²Współzależne powstawanie

1.4 Krótko o Czcią. Jongmae Kenneth Park

- 1954 - urodzony w Seulu, Korea Południowa
- 1972 - akolita, nowicjusz zen (Haenja)
pod okiem Czcią. Moo-Gong
- 1975 - został mnichem zen
pod okiem Czcią. Do Kwang w świątyni HwaomSah
- 1976 - przyjął pełne święcenia mnicha Bhikkhu
pod okiem Najczcią. Ku-San
- 1979 - emigracja do USA
- 1986 - założył świątynię Bo Kwang w Anaheim
- 1992 - założył świątynię Bo Kwang w Środkowym L.A.
- 1999 - 2003 - studia doktoranckie (studia buddyjskie)
na USC i CBS LA
- 1999 - objęcie posady buddyjskiego dyrektora
Uniwersytetu Południowej Kalifornii
- 2003 - obecnie Założyciel i dziekan
Instytutu Studiów Buddyjskich USA
- 2006 - Patriarcha w Szkole Zen Taego,
Koreańskiego Buddyzmu w Ameryce i Europie
- 2007 - 2014 - adiunkt w Loyola Marymount University, CA
- członek Amerykańskiej Akademii Religii (AAR)
- członek Światowej Wspólnoty Buddyjskiej / Mook Rim Society
- członek Rady Patriarchów Szkoły Zen Taego,
Koreańskiego Buddyzmu
- członek Stowarzyszenia Profesorów
Koreańsko-Amerykańskiego Uniwersytetu

Moje nogi zrobiły się jak z waty. Zostałem wciągnięty przez dwóch gości ubranych po cywilemu do małego budynku. Czekał tam już na mnie mężczyzna w mundurze. Starszy mężczyzna, który mnie przywiózł, krzyknął do dwóch umundurowanych żołnierzy: „Skujcie tego sukinsyna”. Rzucili mnie na krzesło i skuli ręce z tyłu.

Zobaczyłem gwiazdy. Przewróciłem się razem z krzesłem. Starszy mężczyzna zaczął kopać mnie raz za razem po twarzy. Krzyczałem w wielkim bólu i męczarniach. Następnie dwóch żołnierzy z powrotem ustawiło krzesło do pionu. Starszy mężczyzna dalej bił mnie po twarzy... nie pamiętam ile razy. Zdawało mi się, że trwało to całe wieki. Po pierwszej serii ciosów ból ustał, ale głowa piekła od gorąca, gdy spływała po niej krew. Cała twarz była pocięta i posiniaczona, czułem mrowienie, nie mogłem otworzyć zapuchniętych oczu. W końcu przestał.

Usiadł powoli na krześle naprzeciwko mnie i zaczął ze mną rozmawiać, jakbyśmy byli starymi znajomymi. „Hej, ty pieprzony komunisto. Znam twojego ojca. Znam ciebie. Ty i twój ojciec zdradziliście ten kraj. Nasz rząd będzie was odpowiednio karać tak długo, aż ta wasza ideologia dostosuje się w końcu do naszego demokratycznego systemu”.

Wiedziałem, że to było nieuczciwe, to tak jak w USA w epoce McCarthy’ego, nazywając mnie komunistą, zostałem po prostu wrzucony do jednego worka razem ze wszystkimi, którzy wypowiadali się przeciwko dyktaturze. Przypominałem sobie, że mój ojciec opuścił Koreę w 1976 roku, najprawdopodobniej szukając azylu politycznego. Korea Południowa znajdowała się pod rządami wojskowych kierowanych przez generała Chung-hee Parka, twardego dyktatora. Ktokolwiek wystąpił przeciwko niemu, zwykle trafiał w ręce służb specjalnych lub policji, gdzie był bity, torturowany, a czasem mordowany. Pod rządami wojskowych nie istniały demokratyczne prawa i konstytucja, państwo funkcjonowało wówczas według regulacji stanu wojennego. Nie było

wolności obywatelskich, nie istniała wolność słowa, zgromadzeń i prasy; czasami nie można było swobodnie poruszać się po kraju.

Jak na ironię, nie miało to miejsca w Korei Północnej, ale w Korei Południowej, w kraju sprzymierzonym z USA. Od 1976 roku służyłem jako kapelan wojskowy w buddyjskiej świątyni znajdującej się w bazie wojskowej. W tym samym czasie mój ojciec przeniósł się do Stanów, gdzie dołączył do innych uchodźców politycznych. Zaczęli demonstracje przeciwko dyktaturze wojskowej w Korei Południowej. Ponieważ byłem jego synem, zawsze w pełni popierałem przekonania mojego ojca. Podczas pobytu w wojsku potajemnie utrzymywaliśmy ze sobą kontakt listowny i telefoniczny. Nigdy nie wysyłałem listów umieszczając na kopercie prawdziwy adres nadawcy, ani nie korzystałem z prywatnego telefonu. W listach i rozmowach potępiałem niejednokrotnie generała Parka i przyrzekłem wspierać bojowników o wolność. Niestety zostałem złapany. Sam siebie doprowadziłem do dramatycznej sytuacji, w której się właśnie znajdowałem.

Zaczęli mnie przesłuchiwać, chcieli wyciągnąć nazwiska innych dysydentów. Szczerze mówiąc żadnego nawet nie znałem. Mój ojciec i jego przyjaciele byli teraz w USA. Nie znałem żadnego opozycjonisty w moim kraju. Ciągłe powtarzałem przesłuchującym tajnym służbom, że nie mogę im podać żadnych nazwisk, ponieważ najzwyczajniej takich nie znam. Następnego dnia dowiedziałem się, że tym starszym mężczyzną był sierżant Kim. Podczas przesłuchania często mówił mi: „Hej, ty pieprzony mnichu. Umrzesz tutaj, chyba, że zakapujesz, kto działa wraz z tobą. Możemy cię zabić w każdej chwili. Spalimy twoje nędzne ciało. Nikt nigdy się nie dowie, co się z tobą stało”. Naprawdę udało mu się mnie przerazić.

Powiedział: „Jestem diakonem protestanckim. Nienawidzę mnichów buddyjskich. Nienawidzę Buddy. Chciałbym was wszy-

stkich powybijają!”. Zmieniał swoje metody, dysponował całym wachlarzem tortur: emocjonalne zagrania, intelektualne i fizyczne ataki. Moim jedynym marzeniem było, ocalenia życia, opuszczenie pewnego dnia tego budynku przesłuchań i zobaczenie się z rodziną.

Robiłem wszystko to, co kazał mi sierżant Kim. Odpowiadałem mu „Tak, proszę pana” i w stu procentach wykonywałem każde polecenie, jakie otrzymałem, ponieważ chciałem przeżyć. Wszystko było instynktowne. Codziennie domagano się, żebym napisał trzystustronicowy list wyrażający skruchę wobec rządu. W najlepszych dniach byłem w stanie napisać sto stron. Moje ciało stawało się coraz bardziej kruche i obolałe. Usta były tak spierzchnięte, że nie mogłem jeść. Starłem się ze wszystkich sił. Nie chciałem umrzeć, nie w tej sali tortur.

W marcu 1979 roku zostałem zwolniony. Tajne służby wojskowe kazały mi trzymać język za zębami. Powiedziano mi, że jeśli jakiegokolwiek informacje o przesłuchaniu zostaną ujawnione, dowiedzą się o tym i mnie zabiją. To był najszcześniejszy moment w moim życiu, przetrwanie przesłuchania prowadzonego przez wojskowych.

Moja przyjaciółka, pani Rim, podała mi zupę na kości wołowej, pomimo że byłem wegetarianinem. Obawiała się, że umrę, jeśli nie odzyskam sił. Myślała, że byłem ciężko chory i nic nie wiedziała o przesłuchaniu. Przede mną stała miska zupy. Trzymając łyżkę zacząłem płakać. Płakałem i płakałem. Coraz mocniej. Moje łzy mieszały się z zupą i sprawiły, że miska przepełniła się. Nie odczuwałem wówczas wstydu.

W tym czasie mój ojciec pracował w Stanach. Skontaktował się z tamtejszym rządem i Amnesty International i przekonał ich, aby wywarli nacisk na rząd Korei Południowej, by uwolniono mnie z tego nieszczęsnego miejsca. W maju 1979 roku dostałem osobiste wezwanie do ambasady USA. Powiedzieli mi, że czeka na mnie paszport i wiza.

W czerwcu 1979 roku ostatecznie wyjechałem do USA. Nigdy nie miałem zamiaru opuszczać Korei. Chciałem pozostać w moim klasztorze, ale musiałem wyjechać dla własnego bezpieczeństwa. Moja rodzina przywitała mnie serdecznie na lotnisku LAX⁹. Matka była bardzo szczęśliwa, że jestem bezpieczny, lecz zaczęła szlochać. Ja płakałem nie mniej niż ona. Byłem bezpieczny. Byłem w domu.

Zgodnie z sutrą mahajany, Virya Paramita oznacza akt ogromnej wytrzymałości. Jest to jedna z głównych praktyk buddyzmu zen. Odczułem, że moja wytrzymałość i cierpliwość doprowadziły do tej nowej sytuacji w życiu. W końcu znów połączyłem się z rodziną. Od tej pory już zawsze odczuwam dług i głęboką wdzięczność wobec rządu USA, moich rodziców, Buddy, bodhisattwów i wszystkich bóstw na świecie. Co dziwne, dziś córka koreańskiego dyktatora jest prezydentem Korei Południowej.

2.3 Praca w fabryce Carson

Odpoczywałem przez trzy kolejne dni. Potem powiedziałem jednemu z moich braci, że chociaż jestem mnichem zen, muszę podjąć pracę zarobkową. Nie chciałem być zależnym od swojej rodziny. Chciałem podjąć pracę i mieć własne dochody. Inny z moich braci pracował jako operator frezarki w Heuver Profiling Company w Carson. Porozmawiał ze swoim przełożonym czy byłaby możliwość zatrudnienia i mnie.

Dokładnie siedem dni po przybyciu do Stanów zacząłem pracować w warsztacie zarabiając pięć dolarów za godzinę. W 1979 roku większość zakładów produkcji maszyn płaciła dwa dolary za godzinę, więc moje wynagrodzenie było stosunkowo dobre. Początkowo nie mówiłem praktycznie w ogóle po angielsku, co utrudniało mi komunikację z innymi pracownikami. Rozumiałem tylko najbardziej podstawowe słowa. Miałem smykałkę do

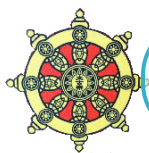
⁹Port lotniczy w Los Angeles

pracy z maszynami, jak również szybko poprawiłem znajomość angielskiego. Prawdziwe trudności wynikały jednak z różnic kulturowych i dyskryminacji na tle rasowym. Dzisiaj istnieją przepisy, które zakazują rasistowskich obelg i dyskryminacji, ale 1979 rok stanowił zupełnie inną erę. W tamtym okresie istniejące regulacje nie były w pełni przestrzegane. Heuver Profiling to angielska firma. Większość pracowników mówiło z brytyjskim akcentem, co wpłynęło i na mój akcent. W efekcie mój akcent brzmi dla Amerykanów trochę dziwnie. Codziennie dochodziło do dyskryminacji rasowej.

W miarę jak mój angielski stawał się coraz lepszy, zacząłem sobie zdawać sprawę, że jestem traktowany jak osoba drugiej, a nawet trzeciej kategorii. Zwracano się do mnie takimi określeniami jak „pieprzony dupek” czy „orientalne gówno” albo mówiono mi „cholera, wracaj do swojego kraju!”. To ostatnie było dla mnie szczególnie bolesne, ponieważ w rzeczywistości nie mogłem tam wrócić. Taka możliwość dla mnie właściwie w ogóle nie istniała.

Pracowałem po 10–12 godzin dziennie, tnąc metal, otoczony wszystkimi tymi zestawami tępych, pokrytych różnymi olejami narzędzi. Praca fizyczna nie stanowiła dla mnie trudności; prawdziwym problemem była dyskryminacja. Pewnego dnia w porze lunchu postanowiłem pokazać coś, czego nigdy wcześniej nie widzieli moi współpracownicy. Próbowałem pokazać swoją indywidualność, odzyskać godność i powstrzymać ciągle prześladowania. Wszyscy siedzieli na ławce obiadowej, a ja wyciągnąłem drewniany klocek o wymiarach 4×2^{10} . Trzymałem go w lewej dłoni i roztrzaskałem go na dwie części gołą prawą dłonią. Wszyscy byli zaskoczeni. Nie mogli uwierzyć własnym oczom. Nikt nie spodziewał się, że mały azjatycki obcokrajowiec „pokroi ciosem karate” cały drewniany blok stojący przed nim.

¹⁰Najprawdopodobniej chodzi tutaj o cale, co stanowi około 10 x 5cm.



6. Audienca u papieża Benedykta XVI

6.1 Spotkanie z papieżem Benedyktem XVI

Na początku 2007 roku do mojego biura mieszczącego się na uniwersytecie LMU dotarł pewien list. Miejszem jego nadania był Watykan, a zawierał imienne zaproszenie. Przywódca Kościoła rzymskokatolickiego, papież Benedykt XVI, planował podróż do Waszyngtonu, gdzie miał się spotkać z delegacją przywódców różnych religii. Strona watykańska wybrała mnie jako jednego z delegatów, a Sekretarz Generalny Episkopatu USA właśnie poinformował mnie o nominacji.

Ks. Tiso, to Amerykanin włoskiego pochodzenia, który urodził się w Nowym Jorku. Doktoryzował się na Georgetown University, a przedmiotem jego zainteresowań badawczych jest buddyzm wadźrajany. Pracował też jako profesor buddologii w Georgetown University. Kilka lat temu przeprowadził się do włoskiej Iserni, gdzie został proboszczem tamtejszej parafii. Niedawno wydał książkę o Czcig. Milarepie - słynnym tybetańskim joginie.

Sądzę, że powodem, dla którego zostałem wybrany na delegata, było moje długoletnie członkostwo w BCD, profesura na jezuickim uniwersytecie, jak również pełniona funkcja biskupa w Szkole Zen Taego. Być może dodatkowym powodem okazała się pewna znajomość języka niemieckiego, jako, że papież pochodzi z Niemiec i włada tym językiem biegle. Na terenie USA mieszka wielu szacownych mnichów i nauczycieli buddyjskich. Wybór mojej skromnej osoby jako delegata na spotkanie z papieżem, spośród wszystkich tych dostojnych osób, był dla mnie wielkim zaszczytem.

Departament stanu USA, nim jeszcze rozpoczął się 2008 rok, dokładnie przeświecił moją osobę, przed pozytywnym zaopiniowaniem jej stronie watykańskiej. W przeddzień wyjazdu do Waszyngtonu mój przyjaciel ks. Jimmy poprosił mnie o spotkanie. Zapukał do drzwi i wszedł do pokoju uśmiechając się szeroko. Powiedział: “Cześć chłopie. A więc zamierzasz spotkać się z papieżem. Hej, nie ma się czego bać. Nie jest żadnym świętym czy też Bogiem. To taki sam człowiek, jak ty, czy ja”. Bardzo podziękowałem mu za tę radę.



Kiedy dotarłem do Waszyngtonu dwóch młodych katolickich księży powitało mnie i zawiozło do włoskiej ambasady. Plan wizyty zakładał trzy dni spotkań, które miały odbyć się w ambasadzie, jak również w Centrum Katolickim. Było tam tak wielu ludzi - więcej kardynałów niż kiedykolwiek dane mi było widzieć na oczy, jak również wszechobecnych tajniaków. Powiedziano mi, że jeden spośród nich został wyznaczony do mojej osobistej ochrony.

Rankiem drugiego dnia arcybiskup Waszyngtonu oznajmił zgromadzonym delegatom, w tym także i mnie, że pojedziemy do

Białego Domu, aby swoją obecnością uhonorować urodziny prezydenta George'a W. Busha. Skromnie odmówiłem, prosząc, abym mógł pozostać w ambasadzie. Był to z mojej strony wyraz protestu przeciwko wojnom w Afganistanie i Iraku. Następnego dnia miało miejsce spotkanie z papieżem. Cała nasza dziesiątka udała się do katolickiej sali konferencyjnej, którą ochraniaли agenci tajnych służb. Na pierwszym krześle usiadł delegat żydowski, drugim muzułmański, trzecim hinduski, czwartym delegat sikhijski, a piąte było przygotowane dla mnie.

Okolo pół godziny później patrząc przez wielkie okno byliśmy w stanie dostrzec biały papamobile, w którym podróżował papież Benedykt. W trakcie jazdy machał do zebranych na ulicy ludzi. Do sali wkroczyli tajniacy, a chwilę potem pojawił się sam papież w otoczeniu grupy kardynałów. Cała nasza dziesiątka wstała, aby przywitać go długimi oklaskami. Papież ubrany był w długą białą szatę, a na głowie nosił małą białą czapkę¹, która przypominała żydowską jarmulkę. Jego buty były koloru szkarłatnego. Flesze setek aparatów zaczęły w końcu gasnąć. Na spotkanie przybyło wielu dziennikarzy reprezentujących takie kanały jak CNN, NBC, ABC, FOX, jak również ich włoskie, niemieckie, hiszpańskie i meksykańskie odpowiedniki, a także wielu innych przedstawicieli mediów.

Papież wygłosił trwający około pół godziny wykład dotyczący pokoju na świecie. Zakończył go specjalną, okolicznościową modlitwą. Potem nadszedł czas na spotkanie z naszą dziesiątką. Jako pierwszy poproszony został rabin, który zanim podszedł i uścisnął dłoń papieża, został krótko przedstawiony. Po krótkiej rozmowie papież wręczył mu okolicznościowy złoty medal. Następnie tak samo postąpił delegat muzułmański, hinduski i sikhijski. W końcu przyszła pora i na mnie.

¹ Autor ma tu na myśli piuskę

Arcybiskup Waszyngtonu: “Następnym gościem jest biskup baptyjski, doktor Jongmae Kenneth Park”. Wstałem, lecz natychmiast usiadłem z powrotem, kiedy zrozumiałem jaki błąd właśnie popełniono. Dobrze wiedziałem, że arcybiskup właśnie poprosił mnie, abym wstał. Spojrzałem w reflektory setek kamer. Poczułem się dziwnie. Podszedłem w końcu do papieża, by uścisnąć mu dłoń. Powiedziałem do niego po niemiecku: “Willkommen is U.S. Papa! Ich bin nicht ein Baptistenprediger, aber Ich bin ein Buddhistischer Monch und Professor an der Katholischen Jesuit Universitat in Kalifornien. . . Ich wunsche ihnen einen guten rast haben!”²

Papież uśmiechnął się szeroko, prawie też wybuchnął śmiechem. Skomentował mniej więcej tak moje słowa: “Ich weiss! Ich weiss! Gut! Professor Park, und Vielen dank!”³.

Powiedziałem mu jeszcze kilka słów szeptem: “Mój przyjaciel, ks. James Fredericks, powiedział mi, że Waszej Świątobliwości przyda się porządny odpoczynek tej nocy”. Papież pokiwał twierdząco. Następnie podarował mi złoty medal na pamiątkę naszego spotkania. Po całym wydarzeniu poczułem się nieco zbity z tropu. Cały świat oglądał transmisję tego spotkania, także Korea i Chiny. Arcybiskup nazwał mnie publicznie baptyjskim, a nie buddyjskim, biskupem. Nie był to drobny błąd. Była to ogromna pomyłka.

Tamtego wieczora, w trakcie okolicznościowej kolacji, siedziałem w otoczeniu wielu biskupów. Nagle mój przyjaciel ks. Tiso wszedł do jadalni śmiejąc się. “Hej, Arcybiskup Waszyngtonu

²“Ojcze Święty, witaj w USA. Nie jestem baptyjskim pastorem, lecz buddyjskim mnichem, a także profesorem na kalifornijskim uniwersytecie jezuickim. Życzę Waszej Świątobliwości spokojnego wypoczynku”.

³“Tak, wiem o tym! Wiem! Już wszystko dobrze Profesorze Park! Bardzo dziękuję!”

właśnie zmienił cię w baptystę!”.

Uśmiechnąłem się krzywo i odpowiedziałem mu: “To nie jest śmieszne”. W trakcie kolacji, na którą: składało się: wino, spaghetti, kielbasy, pizza i sałatki, podszedł do mnie pewien mówiący biegle po angielsku włoski kardynał, aby mnie przeprosić.

“Jest nam niezmiernie przykro z powodu tego, iż jeden z naszych braci omyłkowo nazwał cię baptyjskim biskupem. Chciałbym podarować ci w ramach przeprosin mój złoty medal. Wahałem się przez chwilę, lecz wielu otaczających mnie kardynałów zachęcało mnie do przyjęcia podarunku.

Ponownie uśmiechnąłem się i powiedziałem: “Przyjmuję go. Dziękuję”. Złoty medal od papieża to bardzo rzadki podarunek. Dziś otrzymałem nie jeden, lecz aż dwa. Był to dziwny dzień, który jednak świetnie się skończył.

17 kwietnia 2008 roku, zaraz po śniadaniu, pewna kobieta z Cal State Long Beach, która była asystentką muzułmańskiego delegata, podeszła do mnie. Powiedziała mi: “Profesorze Park, bardzo miło mi cię widzieć”. Wręczyła mi swoją wizytówkę kontynuując: “Ja również pracuję na wydziale teologicznym uniwersytetu. Czy miałbyś czas chwilę porozmawiać?”

Powiedziałem jej, że tak. Mieszkalem już w USA od ponad trzydziestu lat, lecz po raz pierwszy miałem okazję rozmawiać z uczoną muzułmańską, więc poczułem się zaszczycony. Działo się to w mglisty poranek. Szliśmy wzdłuż małego potoku, a ona powiedziała: “Tak naprawdę, to nie chciałabym, aby mój imam dowiedział się, że rozmawiałam z tobą. Czy to nie kłopot?”

Powiedziałem jej, że nie jest to dla mnie problem i ruszyliśmy

dalej. Opowiedziała mi historię swojego życia. Urodziła się w Teheranie, stolicy Persji, a do USA przybyła będąc jeszcze młodą dziewczyną. W Persji kobiety nie mają możliwości, by zostać islamskimi uczonymi, dlatego też w tym celu wyjeżdżają do Ameryki. Chciała, abym opowiedział jej o buddyzmie. Poczułem się wtedy dość zaskoczony, gdyż zawsze sądziłem, że buddyzm i islam odgradza nieprzekraczalny mur. Tym niemniej zacząłem jej opowiadać o życiu Buddy Gotamy, o tym jak założył Sanghę, o ustalaniu kanonu pism buddyjskich, o podstawowych naukach, różnych szkołach i o specyficznych ideach buddyzmu zen.

Spacerowaliśmy tak prawie przez dwie godziny. W tym czasie nie wypowiedziała nawet jednego słowa. Kiedy skończyłem moją prelekcję, powiedziała: „Wiele spośród twoich nauk jest całkiem podobnych do islamskich. Jestem taka szczęśliwa, że w końcu mogłam poznać choć cząstkę mądrości buddyzmu. W moim sercu czuję teraz orzeźwienie”. Kiedy wstaliśmy z ławki, zapytała, czy mogłaby uścisnąć mi rękę. Zamiast tego zaoferowałem uściskanie się. Po krótkim przytuleniu powiedziała: „Teraz muszę już iść”.

Opuściłem park kilka minut później, aby dać jej wystarczającą ilość czasu na powrót, by na pewno nikt nie zobaczył nas razem. Nie rozumiem, jak ktoś może mówić źle lub dobrze o religiach, o których prawie nic nie wie. Opinie wielu ludzi opierają się jedynie na pogłoskach zasłyszanych od innych. Dzięki tej kobiecie, z którą rozmawiałem tego dnia w parku, byłem w stanie dostrzec jasną stronę islamu. Wtedy to uczyniłem ważny krok naprzód. Nigdy nie zawaham się już wyciągnąć do kogoś ręki. Zawsze będę szczęśliwy mogąc podążać wspólnie z innymi.

6.2 Płacz nad jeziorem Keonigsee

W trakcie letnich wakacji w 2008 roku postanowiłem spędzić urlop w Austrii. Kiedy przyjechałem do Wiednia mój niemiecki uczeń Hae Il zadzwonił do mnie. Planował urządzić wypad do Salzburga, na który chciał zaprosić mnie oraz Kwan Um - nauczycielkę zen. Pożyczyłem więc samochód od Bo Hyon i spędziłem pięć bitych godzin za kółkiem jadąc tam. Salzburg to słynne miasto, gdzie kręcono film “The Sound of Music”⁴. To dzieło światowej kinematografii nie jest tylko fikcyjną opowieścią. Pierwszy film opowiadający o tamtych wydarzeniach okazał się być niewypałem, drugi natomiast, w którym zagrała Julie Andrews, zyskał powszechne uznanie.

Wszyscy Austriacy i Niemcy kochają Salzburg. Jest to miejsce przesyczone średniowiecznym klimatem, gdzie na wzgórzach można zobaczyć warowne zamki, a rzeka Salz przepływa przez sam środek miasta. Po krótkim zwiedzaniu miasta Hae Il zapytał: “Czcigodny, czy byłeś kiedyś w Keonigsee?”.

Odpowiedziałem, “Nie, nigdy tam nie byłem”. Oznajmił, że miejsce to leży tylko kilka kilometrów stąd, więc zdecydowałem, że warto odwiedzić leżące na terenie Niemiec Koenigsee. Hae Il prowadził do Salzburga, a Kwan Um prowadziła przez dziesięć godzin z Wuppertalu. Dojechalismy w końcu do Koenigsee, a po pół godzinie mogliśmy zobaczyć niemiecką granicę. Nigdzie nie było żadnego posterunku granicznego, ani też żadnej wyraźnej linii demarkacyjnej oddzielającej te dwa narody. Stał tam tylko jeden mały znak, na którym napisane było “Deutschland” i “Wilkommen”. Z tego miejsca dostrzegłem już piękne i przytulne miasto Berchtesgarden.

Wszędzie roiło się od turystów, a wielu spośród nich nosiło typowe bawarskie krótkie spodenki. Zatrzymaliśmy się w kawiarni,

⁴“Dźwięki Muzyki”

gdzie wypiliśmy kawę i zjedliśmy ciasto. Po wypiciu kawy Hae II wskazał podniesioną ręką górujący nad nami szczyt. “Czcigodny, czy wiesz co to za miejsce?”



Odpowiedziałem że, “Nie, nie wiem”. Wyjaśnił mi, że dom ten był wykorzystywany przez Adolfa Hitlera jako letnia rezydencja zwana Orlim Gniazdem. Wiele razy czytałem o tym miejscu na kartach książek historycznych. Niemcy i Austria od wieków są ze sobą mocno związane, także toczonymi wspólnie krwawymi bitwami, zwłaszcza w okresie obu wojen światowych. Wahałem się czy nawiązać do tego tematu w obecności Hae II, gdyż jest to trudny temat zarówno dla rdzennych Niemców, jak i Austriaków. Wróciliśmy do samochodu, a gdy mijaliśmy Schwoob mogliśmy zobaczyć mały znak drogowy kierujący na Keonigsee. Zaparkowaliśmy przy ulicy i pieszo udaliśmy się do portu, gdzie czekał na nas mały statek. Jezioro okazało się być małe, co rozczarowało mnie. Około pięćdziesiąt osób weszło na pokład, który miał otwarty dach, choć napędzany był panelami na energię słoneczną.

Gdy statek odbił od brzegu zrozumieliśmy, że napędzany był sil-

nikiem elektrycznym, gdyż nie wydawał prawie żadnego dźwięku. Łódź w pewnym momencie ostro skręciła w lewo i dopłynęła do samego końca jeziora, a tam wąskim przesmykiem wpłynęła na wody znacznie większego jeziora, niż to, które początkowo widzieliśmy z brzegu. Było to jedno z największych jezior, jakie kiedykolwiek widziałem w Europie. Otoczone było stokami góorskimi, a rejs wydawał się trwać wiecznie. Austriacy są bardzo dumni ze swoich jezior, takich jak Wolfgangsee i Hallstattersee, ale Keonigsee okazało się zupełnie inne od tamtych dwóch. Austriackie jeziora mają w sobie pewien kobiecy pierwiastek piękna, a niemieckie roztaczają majestatycznie męski urok.

Statek cicho płynął przed siebie, a żaden z pasażerów nie wypowiedział ani słowa. Na środku jeziora kapitan zatrzymał łódź i wyciągnął trąbkę. Nagle wstał i zaczął grać. Zadał cztery takty, a ja mogłem usłyszeć echo dobiegające z każdego kierunku, które stopniowo stawało się coraz cichsze. Buddyści często powtarzają, że wszystko jest ze sobą połączone wielkim łańcuchem. Keonigsee dobrze potwierdza tę prawdę. Cudowne szczyty gór dzieliły się echem, jedno po drugim tworząc łańcuch współistnienia. Było to niesamowite wrażenie. Kapitan wrócił za ster, a my w milczeniu przez następne pół godziny kontynuowaliśmy rejs.

Ten godzinny rejs był niczym medytacja. Gdy dopłynęliśmy na drugą stronę jeziora, naszym oczom ukazał się mały zaimek, w którym mieściła się kawiarnia i sklep z pamiątkami. Usiedliśmy na tarasie z kubkami z kawą w rękach. Zacząłem recytować z pamięci wiersz z sutry Awatamsaki:

“Nasz umysł jest niczym malarz
Jest w stanie namalować cokolwiek chce
Wszystko, co namaluje pochodzi z jednego umysłu
Dla umysłu nie ma nic niemożliwego”.

Zastanawiałem się, czy naprawdę nasz umysł ma magiczne właściwości, czy też istnieje jakiś stwórca, który stworzył tę magię dla nas? Sutra Avatmsaka uczy nas, że jesteśmy w stanie namalować cokolwiek zechcemy, ja jednak nie mam bladego pojęcia, jak namalować piękno, takie jakie rozpościerało się przede mną.

Pojedyncza chmura przepłynęła nad głowami Hae Il i Kwan Um, gdy ci głęboko medytowali. Z moich oczu popłynęła jedna łza. Ostatnie dziesięciolecia dzięki Buddzie, Dharmie i Sandze okazały się dla mnie czasem wartym zapamiętania. Dziękuję za to wielu bogom i boginiom. Dziękuję wielu bodhisattwom. Keonigsee stanowi wspaniałe naturalne centrum zen. Stanowi połączenie niebios i Czystej Krainy. Keonigsee bez wątpienia uosabia w sobie ogromny spokój i wolność.

6.3 Moi europejscy uczniowie

Odkąd zamieszkałem w USA, miałem wiele okazji, by jeździć do Europy w celu propagowania Dharmy. Powodem mojej pracy misyjnej jest obietnica, którą złożyłem mojemu Nauczycielowi Dharmy. Kiedy opuszczałem Koreę w 1979 roku, zaraz po tym, jak zostałem zwolniony z więzienia, mój nauczyciel powiedział mi: “Jeśli udasz się do USA, to jest tam wielki mistrz zen Seung Sahn. Udaj się do niego, okaż mu szacunek i naucz się od niego, jak szerzyć Dhamę na zachodzie. Po udzieleniu mi tej rady poprosił mnie jeszcze, abym został z nim parę dni w klasztorze Haeinsah. Niestety z powodu napiętego harmonogramu nie mogłem pozostać tam dłużej.

Zanim wyszedłem powiedziałem mojemu nauczycielowi: “Mistrzu, złożę ci jedną obietnicę, a więc będę głosił aż do śmierci Dhamę Buddy w tylu krajach, w ilu tylko zdołam. Nauczycielu, wrócę tu za pięć lat. Życzę ci dobrego zdrowia”. Niestety zmarł on zanim mogłem powrócić do Korei.